POLITYK

PC, były prezes „Telegrafu" i były sekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta opowiada Annie Bikont i Jerzemu Jachowiczowi

– Prezydent Wałęsa powiedział niedawno: „Najbliżsi ludzie prezydenta, gdy dostają polecenie, aby łapać aferzystów, pomagają aferzystom i jeszcze ich ostrzegają". Jakby Pan to skomentował?

– Można wnioskować z pierwszej części zdania, że pan prezydent chciał wiedzieć, co dzieje się w świecie polskiego kapitału. Kierując Biurem Bezpieczeństwa Narodowego, starałem się tę wolę prezydencką wypełniać. Co do drugiej części zdania, nie sądzę, żeby mnie dotyczyła.

– Ależ dotyczy. Przecież prezydent odwoływał się do publikacji w „Sztandarze Młodych" stwierdzającej, że to dzięki Pana ostrzeżeniu prezesi Art-B Andrzej Bagsik i Bogusław Gąsiorowski uciekli z kraju.

Nie wierzę, by prezydent RP mógł opierać opinię o ludziach, którzy z nim razem budowali obóz prezydencki i jego urząd, na pomówieniach pana Gąsiorowskiego. Dlatego twierdzę, że mężna jest mi logika wypowiedzi prezydenta.

Załatwią nas od strony chłopów

– Prezydent chciał dysponować wiedzą o polskim kapitale. Czy zatem inicjatywa spotkania z przedstawicielami Art-B [illegible] ja z BBN?

– Art-B zjawiła się w polu mojego widzenia, gdy już pracowałem w Kancelarii Prezydenckiej. Wyobraźmy sobie, że pojawia się wielka firma, która buduje sobie image firmy proludzkiej, ratującej „Ursus". Mając na dodatek potężne zaplecze ekonomiczne, staje się znaczącym elementem sceny politycznej. Firma chce oddziaływać nawet na rezultat wyborów.

Kluczem do rozumienia każdej firmy jest pytanie, skąd wziął się pierwszy milion. W przypadku Art-B krążyło wiele wersji: czy to pieniądze b. PZPR, czy zachodniego kapitału, a może finansował ich obcy wywiad.

Czy trudno sobie wyobrazić, że jako urzędnik odpowiadający za bezpieczeństwo państwa, próbuję dowiedzieć się czegoś na własną rękę, kiedy nie udaje mi się uzyskać żadnych informacji?

– Czy to był jedyny powód Pana zainteresowania Art-B?

– Pierwszy pean na cześć Art-B [illegible] „Wiedział kto w Was, w „Gazecie" [illegible] się obawiać, że jest to [illegible] kapitałowa związana z wami i że ona będzie jedną z wielkich lokomotyw. Że to wasza [illegible] na Bony Boskie, kupią „Ursus", sprzedadzą chłopom ciągniki i Unia zdobędzie 25 proc. głosów więcej. Poleciałem do Leszka Kaczyńskiego. – „Leć do prezydenta, bo jeszcze zaraz zaczną nas załatwiać od strony chłopów". Taka sprawa mogła zaburzyć równowagę polityczną w kraju.

UOP wiedział, nie powiedział, a to było tak

– A dlaczego nie mógł Pan uzyskać informacji o Art-B?

– Bo żaden z urzędów zajmujących się bezpieczeństwem państwa nie był w stanie mi ich udzielić.

– Zwracał się Pan do UOP? Z kim się Pan kontaktował?

– Z szefem UOP Andrzejem Milczanowskim i z oficerem [illegible] dczym, który zajmował się informacji. Z dnia na dzień ucięliśmy jakiekolwiek kontakty z prezesami Art-B.

– Czyli UOP zasugerował, że Pan nie powinien się tą firmą dalej interesować?

– Można to tak powiedzieć.

– Pan zajmował się w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego pionem MSW?

– Można to tak z grubsza nazwać.

– Czy była ustalona procedura wpływu informacji z MSW do BBN?

– Docierały dokumenty poufne, tajne, specjalnego znaczenia.

– Czy UOP zwykł informować Biuro Bezpieczeństwa o swoich tajnych zamierzeniach, np. o szykujących się aresztowaniach?

– Nie. Nie dostawaliśmy ani nie mieliśmy nawet wglądu do informacji o prowadzonych działaniach operacyjnych.

– 31 lipca przekazuje Pan Bagsikowi informację o zamknięciu granicy w ciągu 12 godzin. Termin upływa o 4.00 rano. I sierpnia o 2.00 w nocy Bagsik i Gąsiorowski przekraczają granicę. Taka jest ich wersja. Czyste pomówienie?

– Tak. I dlatego występuję z pozwem do sądu o ochronę dóbr osobistych.

– Czy ma Pan jakąś hipotezę, kto mógł uprzedzić prezesów Art-B o szykujących się aresztowaniach? To, że zostali uprzedzeni, nie ulega wątpliwości.

– Mogę powiedzieć tylko jedno. Kiedy rozpoczynałem rozmowy z UOP na temat Art-B, nie uzyskałem informacji, które powinienem był uzyskać jako urzędnik prezydenta. Dopiero potem wyszło na jaw, że już wcześniej, zanim rozpocząłem z nimi rozmowy, toczyło się śledztwo.

Harmonogram urzędnika czy powieść kryminalna

– Początek waszej znajomości, w relacji Gąsiorowskiego, brzmi jak z dobrej powieści kryminalnej. 16 czerwca 1991 r. godz. 14.00 telefon od wysokiego urzędnika prezydenta Macieja Z. Wiceprezesowi pot spływa po piersi z przerażenia, co jest grane. Spotkanie 18 czerwca w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego okazuje się bardzo owocne. Następują kolejne – w siedzibach Art-B na Wspólnej, w pałacyku w Pęcicach, w „Mekongu", w „Świętoszku".

– W „Świętoszku" nie. To chyba pomyłka. Moje kontakty z panami Gąsiorowskim i Bagsikiem miały miejsce między 11 a 25 czerwca 1991 r. Zaprosiłem ich do BBN trzykrotnie (Zalewski sięga po notatki – red.), dwa, a może trzy razy byłem w Pęcicach, dwukrotnie w ich biurze na Wspólnej, chyba ze dwa razy jadłem z nimi obiad.

– Dlaczego jako przedstawiciel Kancelarii Prezydenta spotykał się Pan z szefami Art-B w ich podwarszawskim pałacyku w Pęcicach?

– Pamiętam, że to spotkanie musiałem skończyć o 22.00, bo miałem jeszcze następne. Na myśl mi nie przyszło, że normalny harmonogram dziennych zajęć urzędnika BBN nabierze powieściowo-kryminalnego kontekstu.

W kategoriach czysto zawodowych

– Jeżeli to spotkanie miały [illegible] referowałem nie tylko swojemu bezpośredniemu szefowi, ministrowi ds. bezpieczeństwa Lechowi Kaczyńskiemu, ale też informowałem o nich szefa UOP.

Patrząc zresztą na sprawę w kategoriach czysto zawodowych, chciałbym zauważyć, że to ja potrafiłem pierwszy wyjaśnić UOP, na czym polegał oscylator. W największym uproszczeniu zysk powstawał dzięki częstemu i błyskawicznemu przerzucaniu tych samych pieniędzy z banku do banku. Dawało to wielokrotne oprocentowanie tych samych kwot jednocześnie w kilku bankach – red.).

Narysowałem im to jak na tablicy i widziałem ich wytrzeszczone oczy. Oni w ogóle nie wiedzieli, o czym mówię, a przecież to oni mogli korzystać z różnych źródeł, podczas gdy BBN nie ma uprawnień do prowadzenia działań operacyjno-rozpoznawczych.

Penetrowanie kapitału na jednym przykładzie

– Czy w ramach Pana obowiązków rozeznawania polskiego kapitału spotkał się Pan w tym czasie z jakimiś innymi firmami?

– Tak, żebym się zajmował inną firmą, głośną a nieznaną, to nie. Art-B traktowałem jako precedens, na przykładzie którego można zobaczyć, jak państwo może się bronić, a kiedy jest bezradne.

– Ale czy w ogóle poza Art-B spotykał się Pan z innymi przedstawicielami polskiego kapitału?

– Tak, w ramach różnych oficjalnych spotkań. Poza tym chcąc zdobyć informacje na temat działań importerskich Art-B – chodziło o import taniej elektroniki z Dalekiego Wschodu – zaprosiłem do Biura kilku biznesmenów, którzy należeli do lobby przeciwnemu takiemu importowi.

– To co Pan mówi, nie brzmi przekonująco. Zajmował się Pan światem biznesu, ale tylko Art-B i tym, co się wokół niego kręciło?

– Nie interesował mnie katalog działań polskich firm, ale ten osobliwy przypadek. Firma, która nagle staje się głośna, przedstawiana w prasie jako złote dziecko polskiego kapitalizmu. Niekonwencjonalna, miała przełamać inercję polskiego systemu bankowego. Art-B rozbudzała namiętności, samu się narzucała, żeby się nią interesować.

Rozmawiając ze mną, prezesi Art-B proponowali sfinansowanie inwestycji rzędu 2 czy nawet 3 mld dolarów.

W kategoriach strategii państwa

– Minister budownictwa Adam Głapiński, działacz PC, spotkał się z prezesami Art-B w sprawach mieszkaniowych. Ale dlaczego Pan miał być przy tym obecny? Sugeruje to, że jednak mówiono o interesach PC.

– To spotkanie miało miejsce 20 czerwca o godzinie 19.00. (Zalewski zerka do notatek – red.) Chciałem zdobyć jak największą wiedzę o tej firmie. Interesowało mnie, czy rzeczywiście możliwy jest taki transfer pieniędzy do Polski, jaki obliczywali. Dlatego, gdy rzucili pomysł o mieszkaniach, zorganizowałem to spotkanie i [illegible] nich się wyprowadza pomówienia.

– Gąsiorowski twierdzi, że pod koniec lipca ubiegłego roku został zaproszony razem z Bagsikiem na spotkanie do Klubu Kapitału Polskiego w celu omówienia pomocy dla PC. Byli tam obecni m.in. minister Głapiński i Jarosław Kaczyński.

– Klub zapraszał różne osoby. Było też spotkanie, na które była zaproszona Unia Demokratyczna i gościem był Tadeusz Mazowiecki. Nie twórzmy fikcji, że tylko jedna partia spotykała się z biznesem, żeby otrzymać od niego pomoc finansową.

– Czy Gąsiorowski i Bagsik proponowali PC pieniądze? Gąsiorowski twierdzi, że to z Panem omawiał plany transferu pieniędzy opierając się na strukturach PC i ułatwieniem politykom z PC kontaktów w bankach na świecie.

– Mówiłem z nimi jako przedstawiciel urzędu, który rozważa ich propozycje w kategoriach strategii państwa.

Przypadkowe spotkanie

– Prezes „Telegrafu" Marcin Oblicki mówił, że „Telegraf" znał przed wybuchem afery Art-B zasady oscylatora, ale z tej wiedzy nie skorzystał. Skąd Oblicki to wiedział?

– Nie wiem skąd. Potem wszyscy w świecie biznesu mówili, że to znają, że to taki prosty trik.

– Gąsiorowski jednak twierdzi, że to przez Pana poznał Oblickiego.

– To mogło się stać przypadkiem, o mnie w BBN.

Trzeba pamiętać, że byłem urzędnikiem państwowym, który przyszedł z „Telegrafu". Wraz z przejściem do Belwederu postanowiłem zbyć akcje „Telegrafu", choć nie było wtedy takiego obowiązku. Wprawdzie natychmiast zrezygnowałem z funkcji prezesa, ale musiałem jeszcze załatwić wiele formalnych spraw związanych z przekazaniem spółki. Stąd wizyty w BBN mojego przyjaciela Marcina Oblickiego. W czasie jednej z nich Oblicki natknął się na szefów Art-B.

– Na korytarzu?

– Może w sekretariacie. Z tego co mogę dziś zrekonstruować, nie było to spotkanie, w którym ja uczestniczyłem.

– Nie ma chyba przypadkowych spotkań w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego.

– Gdybym chciał spiskować, zadbałbym chyba o bardziej dyskretne formy kontaktu? Podkreślam, że kiedy nastąpił kontakt Oblickiego z Art-B, nie byłem ani udziałowcem, ani w zarządzie „Telegrafu".

– Twierdzeniu Bagsika i Gąsiorowskiego mogą wydać się wiarygodne, jeśli przyjmie się najprostsze rozumowanie: Zalewski odszedł z „Telegrafu", który związany jest z jego partią. A ona akurat potrzebuje funduszy na kampanię wyborczą. I oto są ludzie, którzy dysponują dużymi kapitałem i możnością wyprowadzania pomówienia.

Do małej spółki „Telegraf", założonej we wrześniu 1990 r. przez trzech działaczy PC Jarosława Kaczyńskiego, Mariana Parchowskiego i Macieja Zalewskiego, wszedł duży kapitał państwowy – 11 mld wniósł Bank Przemysłowo-Handlowy w Krakowie (wtedy państwowy), prawie 10 mld Centrala Handlu Zagranicznego „Budimex" (51 proc. udziałów skarbu państwa) – i prywatny, m. in. firmy POL-KAUFRING, RDS BANKIER.

– Gąsiorowski twierdzi, że zażądał Pan, by Art-B wsparła finansowo PC wykupując akcje „Telegrafu" za 17 mld zł, i że te pieniądze zostały wpłacone. Dodatkowo miał Panu zaproponować przeprowadzenie przez „Telegraf" operacji finansowych o obrocie rzędu 1 mld dolarów, pośrednictwo w sprzedaży 4 mln ton ropy, bezinwestycyjne wejście w joint venture o wartości 200 mln dolarów. Twierdzi też, że Art-B pożyczyło 40 mld zł Bankowi Przemysłowo-Handlowemu w Krakowie, żeby załatać dziurę po wykupie akcji „Telegrafu".

– To wszystko absurd. Oni tak twierdzą w ramach strategii, która ma doprowadzić do ich powrotu do kraju.

Art-B – karta w grze

– Twierdzi więc Pan, że Art-B wymyśliło sobie teraz „sprawę Zalewskiego" w związku z obecną konfiguracją polityczną. Tymczasem myśmy już ponad rok temu dostali wywiad Jerzego Diatłowickiego z Gąsiorowskim, w którym ten opowiadał, jak Art-B dostało „propozycję nie do odrzucenia od Macka" (cytat z Gąsiorowskiego: „Maciej powiedział – „ja jestem taki facet, że ze mną to tak" – i podniósł kciuk do góry – „albo tak" – i kciuk powędrował na dół, znacznie niżej niż przedtem był w górze. Po tym nie miałem już żadnych wątpliwości"). W ostatniej chwili prezesi wycofali się z autoryzacji, ten tekst świeżo ukazał się w „Polityce". Potem znów, dobrych kilka miesięcy temu, dostaliśmy sześć białych stron kalendarium, kiedy i z kim prezesi załatwiali pieniądze dla PC.

– Dlaczego tego nie wydrukowaliście?

– Bo nie było dowodów. Sytuację zmienia fakt, że Pan sam kontaktuje się z nami, by o tym rozmawiać, no i to, że inne pisma cytowały szeroko doniesienia Gąsiorowskiego.

– Strategia Art-B jest błędna. Doradcy wyprowadzają ich na manowce. Włączają się w walkę polityczną, której nie rozumieją. Art-B stała się kartą w grze. Oni nie są samodzielnymi graczami i tonie ułatwi im walki o obronę dobrego imienia.

– Przez kogo są używani w walce politycznej?

„Tygodnika Solidarność", wydawać gazetę. Wzorem „Gazety Wyborczej" – którą też stworzyli ludzie o pewnej wspólnej historii – stwierdziliśmy, że szansę na zachowanie i linii politycznej, i niezależności pisma najlepiej gwarantuje formuła spółki. Chcieliśmy stworzyć naszą gazetę, w domyśle gazetę obozu

– „Nowy Świat" udowodnił, że to nie jest najlepszy pomysł.

– „Nowy Świat" powstał za późno. Poza tym „Telegraf" miał inny pomysł na zbudowanie centroprawicy – poprzez kompromis różnych grup, które są w stanie skupić się wokół pewnych wartości. Według „Nowego Świata", centroprawica miała

rck wśród akcjonariuszy „Telegrafu"?

– W partii wielokrotnie zarzucano mi tego Tuderka. Ja wtedy odpowiadałem: koledzy, też musimy mieć swoich czerwonych. To nie znaczy, że ja się zgadzam na dyktat postkomunistycznego kapitału, ale że ja poważnie myślę o sprawach pań-

Fot. Krzysztof Miller

Warszawy, bo takiej nie było. A ten obóz wygrywał, miał wówczas duże zaplecze społeczne.

Gdy w ciągu miesiąca zgromadziłem na ten cel – rozbudowany projekt powołania nowej telewizji – 20 mld zł, raptem zostałem sam. Wszyscy moi partnerzy i przyjaciele zostali w tym czasie sekretarzami czy ministrami tamtej. Gazeta nie powstała.

W „Telegrafie" Izba Skarbowa pojawia się co miesiąc. Sprawdzony jest przepływ kapitału w sferze polityki. Prokuratura, która też sprawę bada, nie sformułowała zarzutu. Więc powiedzmy wreszcie: nie było złodziejstwa, prywaty i transferu pieniędzy. A my od roku chodzimy w atmosferze potępienia jako ci, którzy wykorzystali skarb państwa dla własnych interesów.

Bez koneksji i pieniędzy

– 13,5 mln zł Pana udziałów w „Telegrafie" to były Pana czy PC?

– Już mówiłem „Gazecie": to były moje prywatne pieniądze, w tym sensie, że to ja finansowałem jako ich właściciel i zapłaciłem podatek za ich pochodzenie.

PC powstała z drugiego szeregu Solidarności", z ludzi, którzy nie pełnili głównych funkcji w ruchu, nie mieli koneksji. Ta partia nie miała i nie ma pieniędzy.

Można zadać pytanie, które ani sformułowała w „Gazecie": ja nie chcę od niego uciekać: jak to jest, że firmy państwowe decydują się na zakup akcji prywatnej firmy? Byłbym hipokrytą, gdybym powiedział, że jest to przypadek. Nie – to jest forma rzeczywistej relacji między kapitałem a polityką.

W polityce potrzebne nam były pieniądze. Gdy nasz projekt przedstawiliśmy różnym firmom, w tym też państwowym firmom, przez wielu był akceptowany, bo wpisywał się w logikę zmian politycznych. Jeżeli firma, która liczy na 40-50 proc. zysku, chce stworzyć gazetę, przecież taka gazeta nie przynosi strat. Czy jest to

powstać w wyniku walki wszystkich ze wszystkimi.

– Gdy zaczęliśmy pisać o sprawie „Telegrafu", nie sugerowaliśmy, że wykorzystując partyjne układy ktoś załatwia sobie prywatne interesy. Inaczej niż w innych gazetach pisałem, że wszystko wskazuje na to, iż „Telegraf" obraca partyjnymi pieniędzmi, stawiałem problem relacji między biznesem a polityką. PC nie podjęło wtedy dyskusji. Odpowiedziało natomiast atakiem, że to jest jedno wielkie kłamstwo, pomówienie i polityczna zagrywka.

– Sprawa „Telegrafu" wypłynęła tuż przed wyborami. Na dodatek zbiegła się w czasie z kampanią prasową przeciwko mnie w związku z moją wizytą w Waszyngtonie.

Gdyby był tu jakiś ukryty cel, czy byłbym na tyle głupi, by firmować swoim nazwiskiem nielegalne interesy?

Tuderek – tak!

– Jak powinien, Pana zdaniem, być uregulowany styk polityczy – świat biznesu?

– Muszą istnieć jakieś regulacje finansowania partii. Trzeba się zdecydować, czy te pieniądze mają iść z budżetu państwa, czy od grup kapitałowych, które popierają określone poglądy polityczne. Inaczej politycy będą ciągle stawać przed nierozwiązywalnym problemem: skąd wziąć pieniądze na partię, kiedy nie można ani ich zarabiać, ani ich dostawać.

Dodatkowy problem w Polsce polega na tym, że duża część kapitału jest komunistycznej proweniencji.

W ramach PC byłem zwolennikiem tezy realistycznej, że nie będzie tu rewolucji. Ona już się skończyła. Powinno to wymusić na klasie politycznej określone zachowania. Jeżeli zmierzamy do przebudowy systemu, musimy dysponować władzą, a żeby mieć władzę, trzeba iść na kompromisy. Dlatego, kiedy moi partyjni koledzy rzucali magiczne hasło dekomunizacji, ja mówiłem: nie. Trzeba umieć asymilować te infrastruktury, nie ukry-

stwa. Chcę takiego porządku, żeby obecność komunistów na scenie nie szkodziła, a pomagała. I dlatego Tuderek – tak.

Grzegorza Tuderka mieszkańcy Warszawy pamiętają z kampanii wyborczej w czerwcu 1989 roku. Stolica była oklejona plakatami „Tuderek – Tak". Dyrektor Centrali Handlu Zagranicznego „Budimex" (wniósł 10 mld do „Telegrafu"), były członek egzekutywy Komitetu Warszawskiego PZPR ubiegał się o mandat nr 1 w Śródmieściu.

– Sądząc po tym jak PC zachowało się przy tworzeniu rządu, można wnioskować, że jest Pan w bocznym nurcie.

– Uważałem, że nadrzędnym celem jest budowa centroprawicy. Znalezienie się poza rządem oznacza bycie poza obszarem, w którym ta centroprawica może się budować. To było moje podejście, które przegrało.

Wstrzemięźliwy smak

– Zarzuca Pan nam, że „Gazeta" zaatakowała właśnie „Telegraf". To był pierwszy jasny przykład na nieprzejrzyste związki między biznesem a polityką. Poza tym, naszym zdaniem, została tu przekroczona granica. Jeżeli nie prawna, to przynajmniej dobrego smaku. Glapiński jako minister budownictwa podpisujący list intencyjny spółki „Telegraf" w sprawie założenia prywatnej telewizji – to już przesada. Komisja Kontroli Urzędu Rady Ministrów stwierdziła, że nie nastąpiło tu naruszenie prawa, ale przyznała, że podpis był „niefortunny".

– Zgadzam się z opinią sformułowaną wtedy przez prawników rządowych. Prawo nie zostało przekroczone.

Gdyby funkcjonowało państwo prawa, to firma, która z powodu takich zarzutów poniosła straty, mogłaby wytoczyć proces o zadośćuczynienie. A „Telegraf"

pitał nie lubi rozgłosu. Tyle co mogę o tym powiedzieć.

– A o smaku nie chce Pan nic mówić?

– Po przepracowaniu 10 miesięcy w Biurze Bezpieczeństwa jestem bardzo wstrzemięźliwy w ferowaniu agresywnych wyroków. Także w kwestii smaku.

– Czy Pan lub ktoś z „Telegrafu" był wzywany do prokuratury?

– Prokuratura była w „Telegrafie". Prowadzone są dwie sprawy. Jedna dotyczy operacji finansowych banku krakowskiego. Tam wykryto ewidentne fałszerstwo, na skutek którego na naszym koncie znalazło się 40 mld zł.

– A więc to są te pieniądze, o których mówi Gąsiorowski.

– Zgadza się. Pewien człowiek, którego nazwisko zna prokuratura, przyniósł do banku czeki. Bank ich nie przyjął, ponieważ nie było dyspozycji „Telegrafu" na tę operację. Ten człowiek zrealizował czeki w innym banku. Podrobiony czek, nie podpisany przez nikogo z „Telegrafu", został zaksięgowany na nasze konto i wycofany następnego dnia przez bank jako pomyłka bankowa.

Druga sprawa w prokuraturze dotyczy pomówień Gąsiorowskiego, że uprzedziłem ich o zamierzonym aresztowaniu. Wiem, że rozmawiano z Oblickim, że wzywani są moi byli pracownicy i sekretarki z BBN.

– Długo odpowiadał Pan na wszystkie pytania „No comments". Co Pana skłoniło do zainicjowania tej rozmowy?

– Ponieważ zostałem pomówiony. Długo nic nie mówiłem i dlatego, że byłem urzędnikiem Biura Bezpieczeństwa Narodowego. I dlatego, że nie chcę się handryczyć z prasą. Nie po to przez 10 lat pracowałem w podziemnej prasie, żeby ograniczać jej wolność, a poza tym, jak się jest wrogiem prasy, to się jest na straconej pozycji, bo nigdy się nie dojdzie swego. Lepiej więc zejść z pierwszej strony trochę oplutym, niż handryczyć się przez dwa miesiące na pierwszej stronie.

Posiadam dokumenty, które wiążą się z tą sprawą, ale nie mogę ich ujawnić, ponieważ pracowałem w instytucji zajmującej się bezpieczeństwem państwa. Nawet najostrzejsza kampania przeciw mnie nie zdejmie ze mnie obowiązku milczenia. Być może przed sądem będę mógł powiedzieć więcej, jeżeli sprawa odbędzie się za zamkniętymi drzwiami. Ale nie myślę, żeby to było potrzebne, ponieważ ciężar dowodzenia spada na tych, którzy rzucają pomówieniami.

– To może być potraktowane przez czytelnika jako zasłona dymna. Czy przed przyjściem urzędu w BBN podpisywał Pan zobowiązanie o zachowaniu tajemnicy?

– Nie. Ale to nie ma nic do rzeczy.

Z moim przejściem do BBN wiąże się następująca historia. Dostałem propozycję od prezydenta, a potem od 12 marca (z tą datą wystawiono mi nominację) trwała trzytygodniowa procedura lustracyjna. Nasze wojskowe służby informacyjne postawiły mnie w stan podejrzenia o współpracę z jednym z obcych wywiadów, nie chodziło o KGB. Przez te trzy tygodnie przeżyłem koszmar. Czerwoni pułkownicy mieli wystawiać mi „świadectwo czystości". Było to paranoiczne, ale nic nie mogłem na to poradzić.

– Ponieważ sama idea sprawdzenia jest słuszna i konieczna. Rzecz w tym, aby odbywało się to w cywilizowany sposób.

W Norwegii, nie w Izraelu

– Czy spotkał się Pan z prezesami Art-B po ich wyjeździe z Polski?

– Nie. Nieprawdziwa jest informacja, że na przełomie czerwca i lipca tego roku byłem w Izraelu.

Po powrocie z sześciodniowych wakacji w Norwegii, na które udało mi się wyrwać z moją rodziną, zobaczyłem informację w „Panoramie", w której utrzymywano, że spędziłem ten czas w Izraelu. Moje dziecko patrzyło na mnie szerokimi oczami.

– Przecież „Gazeta" rozmawiała z recepcjonistką hotelu Synaj w Tel-Awiwie, i to kilkakrotnie. Ona utrzymywała, że właśnie Pan wyszedł z pokoju 317, albo że zaraz Pan wróci, a potem, że zabrał Pan już rzeczy.

– Ktoś mógł wynająć pokój na moje nazwisko i recepcjonistka mówiła to w dobrej wierze. To nie ja mam to wyjaśniać. Ja w Izraelu byłem raz, w maju 1991 r. W oficjalnej delegacji z prezydentem Wałęsą.

Niezależny polityk z hondą accord

– Czy prowadzi Pan jakąś działalność gospodarczą?

– Nie jestem udziałowcem niczego.

– To PC Pana finansuje?

– Nie, prywatni ludzie. Proszę lepiej zapytać, jak zachować niezależność polityka za trzy miliony, kiedy rozmawia z wielkimi koncernami takimi jak Art-B. Niech polityk nie udaje, że żyje za 3 albo za 7 milionów, bo nie sposób uprawiać polityki za te pieniądze.

Jeżeli kogoś interesuje, dlaczego stać mnie na rozne ekstrawaganckie polityczne, posiadanie innego zdania niż duża część mojego środowiska politycznego, to odpowiem. Dlatego że jestem niezależny finansowo, bo pożyczyłem pieniądze od moich przyjaciół.

Zaciągnąłem dług na nabycie akcji spółki i jeszcze na inne rzeczy niezbędne politykowi.

– Czy na luksusowy samochód też Pan pożyczył pieniądze od przyjaciół?

– Tak. Była już u mnie kontrola skarbowa. Pytali, za co nabyłem akcje „Telegrafu", za co samochód, za co wykupiłem mieszkanie spółdzielcze.

– Jest Pan zmany z upodobania do luksusowych, nowych samochodów. Jakim teraz Pan jeździ?

– Może zapytacie, czy zdradzam żonę.

– Nie, nie zapytamy. Pytamy, jakim Pan jeździ samochodem, ponieważ, naszym zdaniem, politycy nie powinni uchylać się od odpowiedzi na temat swojej sytuacji finansowej.

– Jeżdżę hondą accord.

– Nową?

– Teraz ma pół roku.

Honda accord w wersji podstawowej, z cłem i podatkiem, pół roku temu u autoryzowanego dealera kosztowała 270 mln, a dziś 420 mln zł.

– To dużo Pan pożyczył u przyjaciół.

– Mam wszystkie pożyczki udokumentowane i zapłacone od nich podatki. Jestem na bieżąco rozliczony z fiskusem. Czy przy nowym układzie z Belwederem